

Korabi, znakowanie szlaków, czyli wyprawa Albania Libera III.

W dniach 23-29 września 2010 roku odbył się drugi w historii Polskiego Klubu Alpejskiego wyjazd do Albanii.

Pierwszy rajd po albańskich górach był przeprowadzony w październiku 2008 roku. Ze względu na skromną liczbę uczestników i niejasno sprecyzowany cel, miał charakter rozpoznawczy. W pionierskim tym przedsięwzięciu brali udział: Bogusław Magrel, Grzegorz Piwko i piszący te słowa Piotr Grządziel. Ze względu na odniesione wcześniej kontuzje, dla niektórych uczestników, wyjazd był formą turnusu rehabilitacyjnego. Zresztą do osiągnięć sportowych specjalnie się nie garnęliśmy i podążaliśmy w Bałkany nieśpiesznie, spędzając po drodze wieczór w uroczym Budapeszcie a potem fakt ten odpowiednio długo odsypiając. Ówczesna Albania zaskoczyła nas pozytywnie gościnnością mieszkańców, nieoczekiwanie dobrą jakością usług hotelowych i gastronomicznych, i przede wszystkim wspaniałymi krajobrazami. Stan albańskich dróg nie był zaskoczeniem i nawet byliśmy dumni z osiągniętej przez naszego fiata dobrego średniej prędkości rzędu 10 km/h.

Nazwa Polski Klub Alpejski zobowiązuje do zdobycia jakiegoś znacznego szczytu na eksplorowanym terenie. Oczywistym wyborem stał się najwyższy szczyt Albanii, a jednocześnie i Macedonii, leżący na granicy tych obu państw wierzchołek Korabi o kocie 2791 m n.p.m. Z powodu niekompetencji naszego przewodnika a także naszych niezbyt wygórowanych ambicji, stanęliśmy obaj z Prezesem na znacznie niższym wzniesieniu i jedynie z oddali mogliśmy podziwiać nasz pierwotny cel. Trzeci uczestnik ekspedycji miał za zadanie w tym czasie nie dopuścić do ucieczki przewodnika z końmi, które nas były wyniosły do podnóża skał. W drodze powrotnej z gór do Polski zdecydowaliśmy się na wariant podróży przez Czarnogórę. Po drodze zwiedziliśmy Mauzoleum Skanderberga w Lezha oraz ruiny twierdzy w Shkodër. Piękne widoki, równie wspaniała pogoda i do tego dotykalna obecność śródziemnomorskiej kultury - cały ten konglomerat dodatkowo nasycony bałkańskimi dźwiękami, zapachami i smakami spowodował, że w głowie Prezesa narodził się plan wytyczenia i oznakowania szlaku turystycznego na Górę Korabi od albańskiej strony. Pierwotnie planowaliśmy jego realizację jesienią 2009 roku, ale podstępny atak zimy na południe od Karpat pokrzyżował nasze plany. Wyjazd został przesunięty na rok później. W międzyczasie przekonujemy do naszych planów Ambasadę Republiki Albanii w Polsce oraz zarząd Albańskiego Klubu Alpinizmu i Turystyki Górskiej.

Wyjeżdżamy z Katowic 23 września koło godziny 11.00; przez Czechy, Austrię, Węgry i Serbię docieramy do Macedonii, kraju graniczącego z Albanią. O godzinie 07.00 następnego dnia przejeżdżamy przez Debar - miasto leżące bezpośrednio przed granicą. Miasto zamieszkują Albańczycy - dają znać o tym teksty reklam, nazwy firm i sklepów. Zwracają uwagę mężczyźni wypełniający wnętrza kawiarenek. To już czas na tradycyjną mocną kawę i pogawędkę z sąsiadami, to są obrazki charakterystyczne dla Orientu. Na przejściu granicznym panuje senna atmosfera. Po albańskiej stronie do samochodów ładują się ludzie jadący do pracy w Macedonii i dalej do byłych jugosłowiańskich republik, kobiety i mężczyźni - pewnie czekają ich typowe zajęcia gasterbeiterów - sprzątanie, praca na budowach i roli. Formalności nie trwają długo, nikt nie jest zainteresowany oglądaniem naszych twarzy i sprawdzaniem zawartości samochodu. Godzinę później stoi przed nami zestaw obowiązkowy, małe espresso i szklanka wody. Jesteśmy już w Albanii, w mieście Peshkopi, stolicy rejonu Dibër.

Albania jako współczesne państwo powstała w 1912 roku, gdy europejskie mocarstwa określiły jej obszar. Na skutek ówczesnych uwarunkowań niemal połowa etnicznych Albańczyków pozostała poza jej granicami. Właśnie to powoduje, że obecnie jeszcze nie możemy mówić o zakończonym ostatecznie procesie tworzenia państwa. Albania tzw. Wielka lub etniczna obejmuje okręg Kosowo, część Macedonii łącznie z jej stolicą Skopje oraz terytoria należące obecnie do Republiki Grecji. Niestety, fakty te sugerują, że w przyszłości w regionie może dojść do kolejnych zmian administracyjnych.

Albańczycy uważani są za potomków Ilirów, zamieszkujących Bałkany przed przybyciem Słowian. W czasach rzymskich ziemie te wchodziły w skład rzymskiej prowincji Iliria, potem były administrowane między innymi przez Bizantyjczyków, Bułgarów, Serbów i Wenecjan. W XIV stały się częścią osmańskiej Turcji. W średniowiecznej Europie nikomu nie zależało na obronie niezależności zagubionej gdzieś w górach krainy.

W czasie tureckiego panowania większość mieszkańców przyjęła islam. Nową religię wybierały całe klany i rody z powodu mniejszych podatków i możliwości kariery w sultanskiej armii i administracji. Właśnie religia i własny język są ważnymi elementami budującymi tożsamość narodową. Dzisiaj struktura wyznaniowa kraju wygląda w następujący sposób; 70% muzułmanie, 20% prawosławni, 10% katolicy. Te oficjalne dane nie ujmują kościołów protestanckich oraz wspólnot w rodzaju „świadków Jehowy” czy „zielonoświątkowców”, a zgromadzenia te bywają coraz bardziej widoczne.

Czynnikiem powodującym izolację kraju i jego odporność na wszelkie nowinki - zarówno socjalne jak i technologiczne było ukształtowanie jego powierzchni - około 70% terytorium zajmują góry. Albania zajmuje drugie miejsce w Europie pod względem średniej wysokości kraju - wynosi ona 708 m n.p.m. Z powodu malowniczego

krajobrazu wciąż nie jest wystarczająco rozwinięta sieć połączeń komunikacyjnych, do tego dochodzą liczne rwące rzeki i potoki oraz ostre zimy. Taki stan rzeczy ma dla mnie jako antropologa jeden duży plus - jest to prawdopodobnie ostatnie europejskie państwo, w którym można obserwować rodzime społeczeństwo klanowe.

Porzućmy jednak polityczne dywagacje i wracajmy na szlak.

Albańczycy są bardzo uczynni i bezinteresowni. Jeżeli pokona się barierę językową, wtedy już łatwo i szybko można uzyskać potrzebne informacje. Barman, któremu powiedzieliśmy o naszych kłopotach, po kilku minutach znalazł nam partnera do rozmów na temat zorganizowania transportu w góry. Nasz rozmówca przez kilkanaście lat pracował dla holenderskiej firmy i dobrze władał językiem angielskim. Niestety jego propozycja była dla nas nieatrakcyjna, oferował bowiem podstawienie 2 land roverów, a my woleliśmy jeden samochód. Mimo, że stracił możliwość zarobku uczciwie podał nam rynkowe ceny wynajmu samochodów i sprowadził człowieka, który dysponował interesującym nas pojazdem. I to tylko za dziękuję i uścisk ręki.

Wkrótce pakowaliśmy nasze bagaże do podstawionego mercedesa. Trochę tego było; plecaki, kartony i worki z żywnością i najważniejsze - materiały i narzędzia służące do znakowania szlaku. Wzbudzaliśmy zdziwienie przechodniów upychając szpadle, kilof, potężny młot, łom i piłę, do tego drewniane pale i deski oraz sporo drobnych narzędzi, na koniec pojemniki z farbami i rozpuszczalnikami.

Dwa lata wcześniej podróż naszej ówczesnej ekipy z Peshkopi do Radomir trwała 4 godziny - tyle czasu zajęło nam pokonanie dystansu 40 km. Tym razem jednak czekała na nas miła niespodzianka - dystans został pokonany w ciągu godziny. Droga jak dawniej była niesamowicie kręta i biegła stromo pod górę, natomiast na całej swojej długości miała odnowioną powierzchnię, przeważnie był to ładnie i równo ubity szuter, zdarzały się też odcinki ze świeżo położonym asfaltem. Dobrze, że ten skok cywilizacyjny nie wpłynął (na razie) na malowniczość widoków. Wszyscy pstrykali zdjęcia z okien pojazdu. Dojechaliśmy do wsi Radomir. Zdecydowaliśmy się na współpracę z człowiekiem, który pomagał nam podczas naszej pierwszej tu wizyty.

Haxhi jest właścicielem baru we wsi. Teraz obiekt, w porównaniu ze swoim pierwotnym stanem, był znacznie rozbudowany i wyposażony w takie dobra jak duży kolorowy telewizor i stół bilardowy. Na nocleg Haxhi udostępnił nam izbę w swoim domu. Izba była obszerna, miała dwa okna, na podłodze leżał kolorowy kobierzec, wzdłuż ścian rozłożone były puszyste owcze skóry i błękitne poduszki. Gospodarz miał dwa domy; stary i nowy - oba były jednopiętrowe, drzwi i okna znajdowały się od strony dziedzińca. Stary dom pełnił rolę spichlerza i gospodarczego magazynu, w jego przestrzeni mieściła się również stajnia. Naprzeciw domów, po drugiej stronie dziedzińca stały budynki gospodarcze, w ich ciągu mieściła się również ubikacja. W pobliżu budynków, na stromej skarpie znajdował się ogród warzywny, a w nim krzaki pomidorów i papryki, ogórki, dynie i tykwy, cebula i czosnek. Poniżej był sad, w którym przeważały różne gatunki jabłoni. Gospodarstwo miało wygląd małej twierdzy: solidne kamienne mury, zakratowane okna tylko od dziedzińca i wysokie solidne ogrodzenie. Gospodarstwo miało doprowadzoną wodę i było zelektryfikowane. Dla naszego komfortu gospodarze w wychodku zostawiali światło przez całą noc, była tam też zawsze świeża woda do ablucji.

Po rozlokowaniu się nasza grupa zabrała się do przyrządzania obiadu. Oferta biwakowa - produkty pochodzące z polskich marketów, jakieś gołąbki, fasolki, zupki błyskawiczne. Już najedzeni zabraliśmy się do zbijania tablic informacyjnych planowanego szlaku. Grupowa praca przebiegała sprawnie; dziewczyny wycinały szablony, męska część zajęła się obróbką drewna. Tablice wkopaliśmy na skarpie powyżej ścieżki prowadzącej w stronę naszego szczytu. Następnym etapem miały stać się prace malarskie, planowaliśmy oznaczenia szlaku w kolorach Albanii - czerwonym i czarnym, jednak po otwarciu pojemników nie umiałem ukryć zaskoczenia, do Albanii przyjechało po kilka litrów farb w kolorach białym, czerwonym i kości słoniowej. Czarnej ani śladu. Farby trzymałem od roku w garażu, miałem tam również zapasy innych kolorów. Widocznie podczas pakowania musiałem coś pomylić i teraz próbowałem wybrnąć z sytuacji. No cóż, była burza mózgów i wybraliśmy kolorystykę biało-czerwoną (wybór nie był specjalnie duży). Próbowałem jeszcze ratować twarz i powędrowałem razem z Ewelina do sklepu w sąsiedniej wsi, niestety żadnej farby tam nie znalazłem. Gdy wracaliśmy z nieudanej wycieczki, grupa malująca szlak dotarła już do wysokości 1900 mn.p.m. Na mijanych skałach, kamieniach, murkach i drzewach widniały gęsto kolorowe znaki- dwa czerwone paski, a między nimi biały. Insh Allah!

Wieczorem, po zakończonej pracy, odwiedziliśmy bar. Krok ten nie był jedynie dyktowany pragnieniem - bar jest sercem całej wioski- tylko tam można uzyskać potrzebne informacje i wykonać rozmaite transakcje. I to było naszym celem. Szukaliśmy przewodnika z jucznymi końmi. Tak poznaliśmy Sajmira. Pracował od wielu lat w Anglii jako pracownik budowlany i bardzo dobrze mówił po angielsku. Ustaliliśmy, że jutro o 6 rano będzie czekał z dwoma wierzchowcami. Jednak około 2-3 w nocy zaczął padać deszcz, padał, i padał.

O 7.00 po naradzie z Prezesem ostatecznie odwołałem całą akcję i Sajmir wrócił do baru, a ja do śpiwora. Deszcz wciąż padał, postanowiłem mu na przekór zwlec się jednak z legowiska i wyjść w góry. Oczywiście

najpierw kieruję się na tutejszą agorę, czyli do baru Haxhiego, chcę dowiedzieć się czegoś więcej o gościnnej miejscowości.

Radomir jest wsią rozlokowaną na dużej przestrzeni. Składa się z 5 kolonii. Poszczególne kolonie są zasiedlone, bywa że nawet przez jedną rodzinę - tak jest w Sadok, w Ujmir, skąd pochodzi nasz przewodnik mieszkają 3 rodziny, czyli około 300 mieszkańców. Poza tym są jeszcze Kullas, Tejs i Rade. Łącznie, według bywalców baru, Radomir posiada od 600 do 1000 mieszkańców. Oszacowanie liczby mieszkańców jest trudne, bo większość mężczyzn przebywa na emigracji zarobkowej, co najmniej w Tiranie, jeżeli nie za granicą.

Próbuję wyjaśnić pochodzenie nazwy Radomir. Moi rozmówcy nie mają pojęcia, co nazwa mogłaby oznaczać, nie znajdują żadnych konotacji w języku albańskim. Wspólnie kombinujemy, że nazwa będąca przeciw słowiańskim imieniem może pochodzić z czasów, gdy tereny te należały do Serbów. Swoją drogą fajnie jest w wioskowym barze snuć dywagacje na temat zdarzeń w XIII wieku. Mimo ciekawej i długiej rozmowy deszcz nie przestaje padać.

Jest już dobrze po dziewiątej - muszę w końcu ruszać. W kiepskiej pogodzie świetnie się sprawdza wymuszona kolorystyka znakowania szlaku. Biało-czerwone znaki są dobrze widoczne. Po godzinnej wędrówce stromą ścieżką w górę docieram do ogromnej doliny. Tutejsze hale są od dawna tradycyjnym miejscem wypasu zwierząt z całego rejonu. Głównie są to stada owiec. Z rozmów z pasterzami wynika, że pasie się tu około 3000 sztuk. Część wieśniaków pasie też tutaj krowy, z którymi muszą dziennie pokonywać trasę tam i z powrotem. Inni świeżą paszę dla bydła transportują w dół przy pomocy jucznych koni, mułów i osiołków.

Ścieżka jest bardzo skalista, więc wszystkie wierzchowce są solidnie podkute, koniki wielkości naszych huculów mają tradycyjne podkopy, natomiast osły i muły noszą coś w rodzaju stalowych zelówek. Góry są całkowicie pozbawione lasów, prócz trawy i ostów gdzieś tam rosną jałowce. Brak drewna jest dużym ograniczeniem przy budowie pasterskich szałasów. Są one stawiane na planie prostokąta, dłuższy bok ma około 3-4 m, krótszy 2-3 m długości. Przy budowie wykorzystuje się naturalne ukształtowanie terenu, płaszczyzna podłogi jest wgłębiona w grunt i wyrównana, z dwóch lub trzech boków są wznoszone murki z kamieni uszczelniane gliniastą ziemią. Potem jest budowany szkielet z pni drobnych drzew. Całość jest pokrywana folią budowlaną lub ogrodniczą. Wykorzystywane są też stare banery reklamowe i plandeki. Worki foliowe wypełnione owczym runem służą pasterzom jako materace. Często konstrukcja schronu jest ograniczona do szkieletu z okorowanych gałęzi, pokrytego folią. Pasterski strój także bazuje na tworzywach sztucznych. Największą popularnością cieszą się wodoodporne ubrania firm drogowych i budowlanych z zachodniej Europy. Wymusza to też kolorystykę - paleta składa się z dwóch podstawowych kolorów - ostry pomarańczowy i ostry jasnozielony. Ulubione obuwie górali także pochodzi z placów budowy - są to gumowce. Pasterze twierdzą, że takie buty dobrze chronią przed zębami jadowitych węży i psów. Albania posiada własną rasę psów pasterskich - jest to *Ilirian Sheepdog Šarplaninac*. Od lat 70 jej przedstawiciele cieszą się dużą popularnością w USA. Jednak wychudzone osobniki krążące wokół stad owiec i egzemplarze spacerujące po kalifornijskich trawnikach i odżywiane sztuczną karmą wydają się nie należeć do tej samej rodziny.

Deszcz ciągle padał a ja ciągle maszerowałem. Właśnie dzięki ruchowi jakoś nie zamarłem, mimo, że byłem doszczętnie przemoczony. Na głowie miałem polarową czapkę i kaptur goretexowej kurtki. Rynsztunek taki dość mocno zawęził pole widzenia. Więc nie od razu się zorientowałem, gdy poczułem ból w łydce. Spojrzałem do tyłu... był tam - wielki, płowy, wczepiony zębami w moją łydkę. Na szczęście miał resztkę respektu przed ludzką rasą i zwolnił uścisk, gdy mu zasugerowałem że prowadzenie się prowadzenie się rodzicielki. Dodatkowych argumentów dostarczyły mi kamienie, będące jak to w górach, zawsze w pobliżu.

Dno doliny jest na wysokości około 2000 m n.p.m. Było zimno, cały czas padał deszcz. Owczymi ścieżkami dotarłem jeszcze kilkaset metrów w górę, do ostatniej już doliny, której dno po wiosennych roztopach zamieniało się w okresowy staw. Ponad nią piętrzyły się granie wyprowadzające już bezpośrednio na najwyższy szczyt masywu Korabi. Moją hipotezę, że dotarłem na wysokość około 2400 m potwierdziły odczyty z altimetru następnego dnia. Postanowiłem wracać tym bardziej, że ciemne chmury zwiastowały opady śniegu. Jaka szkoda, że słońce nie mogło zaprezentować pełnej urody tych gór. Skały je budujące to wapień i dolomit, wydają się szare, jednak słoneczne promienie potrafią z nich wydobyć różowe i pomarańczowe niuanse. Zdarzają się wtrącenia o intensywnej barwie czerwonego wina, można też spotkać twory zbudowane z czarnego materiału przypominającego nasz marmur dębnicki, czy krystalicznie połyskujące, olśniewająco białe marmury.

Niestety bałkańska pogoda zazdrośnie skryła te wszystkie skarby. Na pocieszenie dane mi było trafić na stromą polanę, gdzie zamiast owiec znalazłem spore stado maślaków. Przynajmniej jakiś pożytek z deszczowej pogody - pomyślałem widząc już michę jajeczniczy z grzybami.

Po powrocie na kwaterę, zgodnie z zaleceniami sztuki medycznej, przemyłem ranę po psich zębach zubrówką i znacznie więcej tego magicznego płynu wlałem w swoje trzewia. Gdy już rozgrzewałem się zapakowany w śpiwór, zostałem poczęstowany makaronem i herbatą. Okazało się, że moje koleżanki i koledzy również wybrali

się na górską wycieczkę. Sajmir poprowadził ich nad urokliwy staw, gdzie tam były też jakieś skalne ściany, na które przyjeżdżali się wspinać goście z dalekich krajów. Jednak również i moich współtowarzyszy pogoda zniechęciła do eksploracji.

Wieczorem niebo zaczęło się nieco przejaśniać, dzięki czemu do snu układaliśmy się z pewną nadzieją. Poranek jednak nie był łaskawy i może dlatego długo celebrowaliśmy śniadanie. Jeżeli chodzi o zebrane przeze mnie grzyby, w brawurowej ich konsumpcji, prócz mnie, wzięło udział jeszcze dwoje ryzykantów - Ewelina i Darek. Wszyscy przeżyli. Żona gospodarza podarowała nam też warzywa ze swojego ogródka, dzięki czemu mogliśmy się rozkoszować wspianą sałatką ze świeżych papryk, pomidorów, cebuli i ogórków... ach Bałkany!

Pogoda nie potrafiła się ustabilizować i dlatego szwendaliśmy się po obejściu. Ewelina próbowała zaprzyjaźnić się z gospodynią i jej dziećmi, ja penetrowałem ogród warzywny i sad, zaglądałem w zakamarki zabudowań gospodarczych.

Prezesem targaty wątpliwości i w końcu o 13.00 podjął decyzję o wymarszu. Jak zwykle udałem się do baru, by prosić Sajmira o zorganizowanie transportu. Okazało się jednak, że nie można tak na zawołanie wynająć koni. Po 2 godzinach oczekiwań nasze środki transportu były reprezentowane przez jednego kopytnego, którego objuczaliśmy naszymi namiotami i narzędziami. Jedna część grupy z wierzchołcem wyruszyła przodem - mieliśmy dotrzeć do doliny i tam znaleźć miejsce na rozbięcie namiotów. Pozostali idąc mieli znakować szlak i przyjść do już rozbitego obozowiska.

Plan został wykonany i już po zmroku mogliśmy gotować kolację. Sajmir noc spędził w szałasie swojego wuja, w jego obozowisku przenocował też nasz rumak.

Kolejny ranek nie zmienił typu powitania - pada! Jednak przetrzymaliśmy deszcz siedząc w namiotach i w końcu się rozpogodziło. Szybka decyzja- ruszamy w górę. Wędrujemy po moich wczorajszych śladach. Dalej ścieżka nas prowadzi z boczem doliny, w której zakończyłem swoją trasę. Pokonujemy stromy próg nad doliną i jesteśmy na grani wyprowadzającej na szczyt. Tędy przebiega też granica, ukształtowanie terenu wymusza zejście na macedońską stronę i stamtąd trawiastym z boczem trafiamy na szczyt. Na wierzchołku jest wymurowany blisko metrowy słup. Wiatr przegania chmury i otwiera na moment widok na albańską stronę, na wieś Radomir i na ciągnące się jeszcze dalej wzniesienia. Szmat świata. Na wierzchołku mocujemy tablicę i rozpoczynamy zejście. Tym razem stąpamy wyłącznie po albańskim terytorium. Dzielimy się na zespoły i malujemy znaki- biały pas między dwoma czerwonymi. Niestety, gdy już opuściliśmy bardziej stromy teren, zaczął padać deszcz. Musieliśmy przerwać prace malarskie. Sajmir dzielnie kroczy z nami, trochę odstaje od nas ubiorem, bo jest odziany jak przystało na bywałego w świecie człowieka z niewymuszoną elegancją- dzinsy, skórzane pantofle, krótka płócienna kurtka, w ręku czarny parasol- wszak wrócił z Albionu. My wyglądamy jak z żurnala mody out door. Jednak najczęściej właśnie nasz autochton ma najlepsze tempo marszu.

Kolejne rozczarowanie spotkało nas, gdy dotarliśmy do naszych namiotów. Okazało się, że ktoś je spenetrował i brakuje kilku rzeczy; parę śpiworów, parę palników, komuś zginęły spodnie, nóż, buty, jakieś drobne pieniądze, trochę żywności. Sajmirowi jest wyraźnie głupio. Postanawia zasięgnąć języka u okolicznych pasterzy. My w tym czasie zbijamy tablice, jedną z nich ustawiamy nieopodal naszego obozowiska.

Wraca Sajmir, twierdzi, że wie, kto mógł dokonać kradzieży. Umawia się z nami, że trochę zostanie w dolinie i postara się odzyskać nasze rzeczy, a my wrócimy do wsi sami. Taki obrót sprawy powoduje, że na mojej głowie będzie prowadzenie jucznego konia. Pierwszy raz w życiu stoi przede mną takie wyzwanie. Zwierzę wygląda na łagodne, ale kto wie, co takiemu strzeli do głowy? Poprawiam juki i ruszamy. Trochę zaczynam się bać przy pokonywaniu strumyków, bo czworonóg postanawia przeszkody pokonywać techniką skoku. Oczywiście cierpi na tym bagaż. Na szczęście zwierzę nie ucieka i pokornie czeka, aż przy pomocy kolegów poprawię wiązania.

Jeszcze jeden przystanek robimy na drugim końcu doliny. Tam też wkopujemy tablicę informacyjną. Niestety jakoś nie umiem ponownie poskładać bagażu. Odtąd co chwilę muszę poprawiać wiązania, a i tak siodło, do którego wiąże wszystkie narzędzia, namioty i pojemniki z farbą, mimo ofiarnej pomocy Ryśka i Darka, co chwilę zsuwa się to na jedną, to na drugą stronę chudego końskiego grzbietu. Z opresji ratuje nas Ruzhyd- sympatyczny pasterz, który szybko i fachowo rozmieszcza obciążenie. Gdy docieramy do wsi jest już zmrok. Prowadząc konia czuję się jak bohater, a swoją drogą jestem mu bardzo wdzięczny, że powstrzymał się od ekscesów.

Podczas naszego odwrotu Ewelina idzie w awangardzie naszego zespołu, ma za zadanie nawiązać kontakt telefoniczny z kierowcą i załatwić nam jeszcze na dzisiaj transport do miasta. Mimo późnej pory i początkowych problemów z samochodem mamy mieć przewóz. Po jakimś czasie do wsi dociera Sajmir i odzyskujemy część skradzionych nam rzeczy. Cóż, ta sprawa kładzie się cieniem na naszej przygodzie.

Rozklekotany mercedes melduje się koło 22, tak, że jeszcze przed północą możemy się ulokować w hotelu. Jesteśmy tak zmęczeni, że terenowa trasa pokonywana głęboką nocą nie robi na nas wrażenia- jednak, gdy

dzisiaj o tym pomyślę - to pełny szacunek dla szofera i konstrukcji pojazdu! Rano po przebudzeniu robię wypad na miasto, kupuję płyty z muzyką ludową, nie umiem sobie także odmówić tradycyjnej, wyśmienitej, mocnej kawy, a nawet przyznam się - dwóch. Jeszcze zakup paru drobiazgów. W Peshkopi nie ma sklepu z pamiątkami, natomiast świetnie jego rolę pełni sklep typu naszego GS'u- z artykułami do produkcji rolnej. Można tam kupić janczary do końskich uprzęży, dzwonki dla owiec i krów. Kilka osób idzie w moje ślady a wszystkich przebija Ryszard zaopatrując się w plecioną ze sznura końską uzdę. Bardziej przyjemne zakupy bierze na siebie Ewelina, zdobywa dla nas przepyszne drożdżowe bułki, soczyste złote melony i winogrona. Wszak bałkańska jesień kusi swoimi darami, wszystko to pyszni się na sklepowych wystawach.

Szkoda, że nie ma czasu, by wgrzyźć się intensywniej w ten barwny i pachnący krajobraz. Ruszamy do domu! Do pokonania mamy dystans około 1500 km - w przestrzeni, ale podróżowaliśmy też w czasie, bo wracamy jakby z innej epoki. Nie ma w Europie takiego drugiego kraju jak Albania. Do zobaczenia za rok!

Piotr Petero Grządziel

Katowice, październik 2010

#### Bibliografia:

1. Tibor Dienes, *Albania. Przewodnik turystyczny*, Wyd. Księży Młyn, Łódź 2008
2. Tadeusz Czekański, *Albania*, Wydawnictwo Trio, Warszawa 2003
3. Maria Todorova, *Balkany wyobrażone*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2008
4. Tessa de Loo, *Świnia w pałacu*, Pracownia Słów, Warszawa 2004

#### **W wyjeździe PKA udział wzięli:**

Prezes- Bogusław Magrel

Dorota Ostapowicz

Ewelina Paszek

Monika Świst

Krzysztof Kapes-Kowalski

Paweł Skiba

Dariusz Stolarczyk

Ryszard Zawisz

Piotr Grządziel